



swoich pokoiów, by przygotować się do wyjazdu do Sandomierza, naznaczonego na piątą po południu. Pp. Sokolowski i Mieszczyński powrócili do niedalekich Gorzyc, a my zasiedliśmy do brydża. Nadszedł wieczór. O zmierzchu zjawilo się nieoczekiwanie dwóch jegomościów. Zastukali do okna i zawolali, że chcą mówić z właścicielem. Ciotka moja, Kowerska, otworzyła okno: - Czy są tu blisko Niemcy i ilu ich jest? Jesteśmy z lasu.

- Niemców tu nie ma, ale stacjonują niedaleko. Radzę nie kręcić się. Byli tu dziś i strzelali przed domem.

- Jak są uzbrojeni? Chcemy zrobić na nich napad.

- Wszyscy wiedzą, że są uzbrojeni dobrze. Nie chcę mieć do czynienia z takimi sprawami! Proszę się wynosić.

Poszeptali coś między sobą i poszli. Zjawienie się owych dwóch nieznanym oraz fakt, że jeden z nich źle mówił po polsku, w połączeniu z popołudniową wizytą esesmanów zaniepokoiło nas i dało nam dużo do myślenia. Mogli być nastani przez Niemców. Zaraz po wyjeździe państwa młodych rozeszliśmy się po pokojach, pełni wewnętrznego niepokoju. Wyczuwaliśmy zbliżanie się niebezpieczeństwa, obawialiśmy się prowokacji. Groza wisiała w powietrzu.

Kolo dziesiątej wieczór w domu zapanowała cisza. Poza Andrzejem i mną wszyscy byli w łóżkach. Nagle ktoś zapukał do drzwi. Nie otworzyliśmy, tylko stanęliśmy z ojcem w oknie. Zaczęła się rozmowa podobna do poprzedniej. Teraz jednak nieznanymi przybrali agresywny i pełen pogrożek. Byliśmy pewni, że coś się gotuje. Andrzej i ja, wiedzeni instynktem, nie położyliśmy się spać. Byliśmy ubrani. Milczeliśmy, ale czuliśmy, że stanie się coś straszego. Czekaliśmy niedługo. W

Nie wiem ile czasu minęło, gdy raptem usłyszałem kroki dwóch ludzi chodzących po strychu; stanęli nad naszą kryjówką. Zaczęli przewracać rzeczy schowane na strychu. Po- stali i zeszedli na dół. Po chwili do dołu, w halu, posypała się seria strzałów w kierunku naszej kryjówki. Jedna kula lekko drasnęła mnie w ramię, inne zahaczyły tylko o moje ubranie, przestreliwując rękaw koło łokcia. Andrzej nie był ranny. Teraz znów zaległa cisza.

Wkrótce jednak po raz drugi odzywają się kroki na strychu. Jedne są głośnie, drugie ciche, skradające się. Wstrzymując oddech, nasłuchujemy. Ciężkie kroki schodzą na dół, widocznie drugi Niemiec został na czatach. Zapewne podejrzewali, że ktoś skrył się na strychu i przypuszczali, że po seriach z pistoletu maszynowego jest ranny i będzie jęczał. Później zrozumiałem, przypominając sobie urywki rozmów między Niemcami, w jakim kierunku szły ich podejrzenia: liczba łóżek zasłanych na noc nie zgadzała się z liczbą zabitych, brakło dwóch ludzi. Niemcy chcieli dostać ich w swe ręce, gdyż byli oni świadkami masowego mordu.

Godziny mijały. Nastal ranek, leżeliśmy bez ruchu w naszej klatce. Jest ciasno, drętwieją ręce i nogi, jesteśmy niezdolni do myślenia. Zwierzęcy instynkt każe nam czekać. Może nas nie znajdą, może odjadą.

Na dole pod nami ruch nieustanny, warkot motorów samochodowych. W jadalnym pokoju odbywa się libacja, głośnie rozmowy, okrzyki i śmiechy. Potem wszystko ucicha. Nastaje noc. Druga noc w zbydniowskim grobie.

Dokuczają nam głód i pragnienie. Musimy zmienić pozycję. Zaczynam pomału zbierać myśli i przygotowywać plan: gdy wszystko uspokoi się, wyjdziemy z naszej kryjówki.

Po długich godzinach cierpliwego czeka-

czając się! Metr na godzinę! Marsz!!  
W naszej kryjówce robi się ciemno. To już czwarta noc. W domu cicho. Po ostatniej kontroli Niemcy zapewne upewnili się, że nikogo w domu nie ma. Postanawiam, że wyjdę na strych: może znajdę coś do zjedzenia. Znów ta sama gimnastyka z wydotaniem się na zewnątrz. Wyprostowałem się. Posuwam się wzdłuż ściany, kręci mi się w głowie, zmuszam się całym wysiłkiem woli, by nie upaść. Macam belki i natrafiam na stoik, stoik konfitur wiśniowych. Poza stoikiem ani chleba, ani wody. Liczyłem, że znajdę kielbasę albo szynkę, bo byłem prawie pewny, że wisiały na strychu. Znów droga powrotna do schowka. Szczęśliwie dotarłem do Andrzeja, który jest u kresu sił. Jemy lepko, słodką maź wiśniową. To zaspokaja głód, ale potem mamy w ustach smak obrzydliwy i pragnienie staje się coraz większe.

Andrzej zasypia i bredzi. Gdy go budzę, mówi od rzeczy. Chce popelnić samobójstwo. Przylapuję go, gdy stara się przegryźć arterię ręki. Cicha walka ze słabością jego i moją, ale poczucie odpowiedzialności za życie mego młodszego brata daje mi tyle siły, by jego i siebie uchronić od rozpacz. Zaczyna się czwarta noc. Układam plan ucieczki. Szeptem powtarzam go Andrzejowi. Mysł moja działa jasno i sprawnie, gdyż widzę i wiem, że Andrzej dalszej doby nie wytrzyma. Plan jest następujący.

Wzdłuż gościnnych pokoi na piętrze, mniej więcej 50 cm poniżej parapetu okiennego, ciągnie się metrowej szerokości daszek. Mamy wyjść ze strychu, przejść przez korytarz do gościnnego pokoju, spuścić się na daszek, dojść do rynny i oparci hoganami o rynnę przesunąć się kilka metrów aż do balkonu od strony ogrodu. Po kolumnie trzeba zsunąć się na parterowy balkon, a potem biegiem w ogród. Leżąc kolo Andrzeja, powtarzam po

trzymam na niego w malignie. Słychać zapuszczenie motorów, samochody odjeżdżają, pierwszy, drugi i po dłuższej chwili trzeci. W domu ani szmeru. Wychodzimy ze strychu, idziemy cicho, ale normalnym krokiem, wchodzimy do naszego pokoju, bierzemy fotografie, które mieliśmy przy łóżkach, drobiazgi, portfel z pamiętkami, przypominam sobie, że w szafie bibliotecznej mam schowane pudełko z biżuterią, zabieram i schodzimy na dół. W hallu pusto. Ani jednego płaszcza niemieckiego. Na kamiennej posadzce świeżo zmyte ślady krwi. Wchodzę do jadalnego, na kominku manierka wojskowa. Biorę ją i niósę Andrzejowi, pijemy kawę, pierwszy łyk płynu od tyłu dni. Za drzwiami w gabinecie ojca słychać głosy Niemców. Wchodzimy do kredensu. Jest pusty, patrzą przez otwarte drzwi, warty nie ma. Okna gabinetu ojca, gdzie siedzą Niemcy, wychodzą na przeciwną stronę domu. Skuleni przebiegamy do gęstych krzaków ogrodowych, kładziemy się w trawie i czekamy zmroku. W tej chwili jest dokładnie 11 rano. Jest 28 czerwca 1943 r. Boimy się tylko, by nasz wyżeł, kochany Dream, nie zwałchał nas i nie zdradził. Ale, zdaje się, że podzielił los wszystkich. Przespaliliśmy się do południa, słyszeliśmy znów warkot samochodów, rozmowy i krzyki Niemców.

Zapadł wieczór. Księżyc późno wschodził, wyczołgałiliśmy się więc z krzaków i dotarliśmy na folwark do karbowego. Gdy otworzyliśmy drzwi, patrzył na nas jak na upiory. Byliśmy upiorami, wracaliśmy z tamtego świata. Kochany pan Szydło napoił nas i nakarmił, mówił, że Niemcy ciągle kogoś szukają i przesłuchują ludzi. Nikt żywy z pałacu nie wyszedł, ani z rodziny, ani ze służby. Pożegnawszy się serdecznie z panem Szydło, ruszyliśmy bocznymi, polnymi drogami do zaufanego gajowego. Szliśmy przez łąny wysokiego żyta i pszenicy, przez pola Zbydniowa.